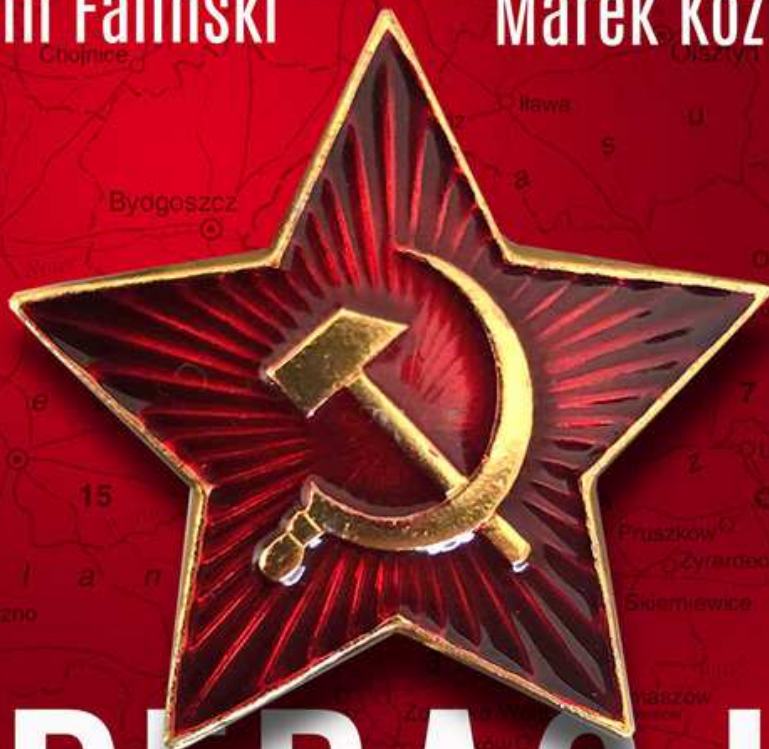


**Marcin Faliński**

**Marek Kozubal**



# OPERACJA RETEA

**FINAŁ PORYWAJĄCEJ  
TRYLOGII SZPIEGOWSKO-HISTORYCZNEJ**

**CZARNA OWCA**

# ROZDZIAŁ 1

## Rumunia, Turcja – wrzesień 1939 roku

Czarny dodge D-1125 z białym napisem *Taxi* na przednich drzwiach ruszył gwałtownie spod kamienicy przy Calea Victoriei, gdzie mieścił się niewielki hotel Majestick. Minął po prawej Savoy Theatre i nowoczesny budynek centrali telefonicznej nazywany *Thelephone Palace*. Mimo późnej pory na głównej arterii rumuńskiej stolicy panował spory ruch. Piesi przeciskali się chodnikami, co chwila zatrzymując się przed witrynami licznych sklepów, restauracji i kawiarni. Po dwudziestu minutach szybkiej jazdy samochód minął z piskiem opon ostatni zakręt. Światło z jego reflektorów omiotło stojący przy brukowanej ulicy kiosk z kwiatami na rogu Calea Târgoviștei. Zwolnił nieco dopiero przed torami tramwajowymi, ciągnącymi się środkiem poprzecznej arterii. Skręcił w lewo i skierował się w stronę kolumnady z głównym wejściem do dworca kolejowego Gara de Nord w Bukareszcie.

Major Sorin Dumitru, oficer Sectia A II-a Sztabu Generalnego Królewskich Sił Zbrojnych Rumunii, oddelegowany ostatnio do Sekretariatu Generalnego MON, zdążył jeszcze spojrzeć na zegar znajdujący się na pięciopiętrowej wieży dworcowej zakończonej tarasem widokowym. Trochę się uspokoił. Taksówka gwałtownie się zatrzymała. Major uregulował należność, podwajając ją wysokim napiwkem. Był hojny, bo czas był dla niego teraz najcenniejszy. Wszedł z samochodu i rozejrzał się uważnie.

Dumitru był wysokim i przystojnym czterdziestolatkiem. Niewielki czarny wąsik dopełniał jego wyraźnie orientального wyglądu. Nałożył grafitową fedorę, która świetnie pasowała do całości ciemnogrnatowego ubrania. Dwurzędowa marynarka o nieco kwadratowej linii kroju, szerokie spodnie i biała koszula leżały na nim idealnie, do tego dochodził ciemny krawat. Wyjął z kieszeni spodni metalową zapalniczkę i paczkę lucky strike'ów. Zapalił i zaciągnął się. W tym samym czasie szofer wystawił dwie duże skórzane walizki przewiązane solidnymi pasami z mosiężnymi kłami. Mężczyzna rzucił niedopałek papierosa. Podszedł powoli do drzwi pasażera i otworzył je. Nachylił się i ze środka samochodu odebrał niewielkie zawiniątko. Od razu widać było, że to niemowlak. Potem z pojazdu wysiadła na oko trzydziestopięcioletnia brunetka. Spod niewielkiego, czarnego, ekstrawaganckiego kapelusza wystawały nieco spłaszczone loki. Jak przystało na najnowsze trendy w modzie damskiej, kobieta miała odsłoniętą linię karku, uszu i skroni. Ubrana była w bordową garsonkę ozdobioną haftem. Niosła torebkę oraz wypchaną skórzaną brązową torbę lekarską zapiętą na metalowe zawiasy.

- Dorina, kochanie. Pospiesz się. Wejźmy szybko do środka - rzucił major, dzwigając walizki.

- Już, już. Jeszcze tylko poprawię kocyk Emilce. Przecież mamy jeszcze czas. Weź ode mnie tę torbę z zakupami - odpowiedziała.

- Jakimi zakupami?

- Jak to! Mówiłeś, że ruszamy w daleką podróż i żebym się przygotowała. Jak wyszedłeś dzisiaj rano na spotkanie w Athene Palace, ja byłam w delikatesach *Dragomir Niculescu* i kupiłam parę rzeczy na drogę.

Major pokiwał głową, uśmiechnął się i wziął od kobiety wysłużoną torbę. Po chwili małżonkowie weszli do nowszej części dworca nazwanego na cześć cesarza Franciszka Józefa *Royal Hall*. Szli wzdłuż głównej hali dworcowej o azurowej, metalowej konstrukcji sufitu. Major wyglądał, jakby liczył wszystkie mijane, wąskie stalowe kolumny podtrzymujące dach. Odnosił wrażenie, że one nigdy się nie skończą. Gdy dochodzili do peronów, spojrzął za siebie. Wśród spieszących się podróżnych, snujących się kolejarzy, rozmawiających z policjantem dwóch celników, jakiejś grupy żołnierzy i marynarzy z Marina Nationala a Romaniei, nie dostrzegł nikogo podejrzanego.

Okrągły zegar podwieszony pod dachem wskazywał za kwadrans dwunastą. Szli wzdłuż nocnego składu pociągu do Konstancy. Ciemnozielone wagony z bocznymi napisami *CFR* powoli zapełniały się podróżnymi, których zresztą nie było wielu. Major zwrócił uwagę, że przedziały są nieoświetlone. Szukali wagonu pierwszej klasy. Mijali te trzeciej i drugiej klasy. Jego wagon miał namalowany żółty pas nad linią okien i znajdował się zaraz za pocztowym, na początku składu. Przed schodami konduktor poprosił o bilety i dodał:

- Przypominam szanownym państwu, że okna w przedziale muszą być zasłonięte.

- A co się dzieje? - zapytał nieco naiwnym głosem major.

- Szanowny pan nie wie, że w Polsce wojna?! My też musimy się do niej szykować. Pod Bukaresztem budowane są umocnienia i okna muszą być zasłonięte, a światło wyłączone. Uprzedzam szanownych państwa, że mogą być opóźnienia. Miłej podróży. - Oddał im bilety.

Ich przedział był pusty. Po paru minutach mężczyzna wyszedł i zapalił papierosa, spokojnym krokiem ruszył w kierunku czarnego cielska parowozu. Sapiąca powoli i wyrzucająca na boki parę lokomotywa z fabryki Uzinele de Fierși Domeniile Reșița wyglądała dostojnie. Odwrócił się i popatrzył na peron. Nikt go nie obserwował. To go uspokoiło. Spojrzął na przód lokomotywy i czerwoną tabliczkę z białym numerem 142. 072. Wrócił do swojego wagonu i wskoczył zwinnie na schodki.

- Jestem już, kochanie.

- Wszystko w porządku? Czysto? - spytała.

- Tak, chyba tak. Na peronie nie ma żywej duszy - odparł i zsunął okno. Wychylił się i uważnie jeszcze raz na wszelki wypadek zlustrował peron.

Po paru minutach do ich uszu dobiegł dźwięk kolejarskich gwizdków. Jakby w odpowiedzi usłyszeli przeciągły gwizd lokomotywy. Pociąg szarpnął. Koła parowozu zabuksowały w miejscu, a biała para spowiała perony. Skład ruszył, by po chwili minąć ostatnią tablicę z napisem *Prima platformă*. Bukareszteński dworzec zostawał z tyłu.

Podróż do portowej Konstancy trwała kilka godzin. Pociąg zatrzymywał się częściej niż podczas ostatnich wakacji. Przez szparę w zasłoniętych oknach wagonu major kilka razy zauważył mijane składy towarowe z transportem wojska. Przez całą podróż nie mógł pozbyć się wątpliwości, czy ich mieszkanie w dużej, secesyjnej kamienicy przy Piata Sanatolui, niedaleko Pałacu Sprawiedliwości, zostało dobrze wyczyszczone. Nachodziła go myśl, że zapomniał zlikwidować skrytkę, w której przechowywał materiały do fałszowania dokumentów. Zniszczył większość sprzętu ze swojego niewielkiego, konspiracyjnego laboratorium fotograficznego. Nie mógł sobie jednak

przypomnieć, czy także specjalny mikroskop sprzężony z aparatem fotograficznym, służący do pomniejszania zdjęcia normalnego formatu pocztówkowego do mikrokropki. Wszystko działało się tak szybko. Obawiał się, że mógł popełnić jakiś błąd. Ulgę odczuł dopiero wtedy, gdy zdał sobie sprawę, że nie wróci szybko do Bukaresztu.

Najbardziej żałował, że fiaskiem zakończyła się planowana od wielu miesięcy Operacja Retea. Miało to być pionierskie i wieloletnie przedsięwzięcie.

Pisk kół pociągu obudził majora i jego żonę. Pociąg wyraźnie toczył się wolniej. Zbliżali się do końca podróży.

- Posłuchaj. Zanim stąd wyjedziemy - zaczął major - pójdziemy do restauracji w hotelu Chérica, to koło *plaja modern* i niedaleko portu. Wynajmę dla nas pokój i zjemy tam śniadanie. Potem muszę jeszcze wyjść na chwilę do miasta.

- Sorin, kochanie. Może zostaniemy i odpoczniemy jeden dzień? Wiesz, Emilia może być zmęczona nocną eskapadą. Jakoś słabo ciągnęła mleko z piersi - powiedziała, gładząc z czułością twarz kilkumiesięcznego dziecka.

- Doskonale wiesz, że to wykluczone. Tłumaczyłem ci. Koniecznie dzisiaj musimy opuścić Rumunię. To jedyna szansa na przeżycie. Mamy przecież jeszcze sporo godzin, żeby odpocząć. Może się trochę prześpicie po śniadaniu. Kiedyś w tym hotelu odpoczywali mnisi. Może udzieli ci się trochę ich spokoju - odparł serdecznym tonem i uśmiechnął się.

- Mnisi? Jacy mnisi?

- Prawosławni podróżujący na świętą górę Athos na półwyspie Chalkidiki w Grecji.

Major nie znał zbyt dobrze Konstancy. To nie był jego obszar zainteresowania. Pamiętał tylko z uzyskanych w ostatnich dniach informacji od znajomych, że port ma pływający dok, kilka lat temu wzniesiono nowy budynek dla administracji i zakończono budowę nowego dworca kolejowego, utworzono też giełdę. Dużo słyszał o najsłynniejszej budowli w mieście, czyli Cazinouldin Constanta w stylu art nouveau, zbudowanym na początku XX wieku, oraz o pałacu królewskim. Znajomi rekomendowali także liczne pensjonaty i hotele. Może dlatego zdecydował, aby czas do wyjazdu spędzić właśnie w jednym z nich. Nie chciał pokazywać się z żoną i dzieckiem na mieście, aby nie rzucać się w oczy.

Po zjedzeniu śniadania i krótkim odpoczynku w pokoju major wyszedł z narożnego budynku hotelu. Z portowego nabrzeża co jakiś czas słychać było krótkie albo przeciągłe sygnały dźwiękowe ze statków wchodzących do portu. Nakładały się na nie odległe odgłosy z jednostek oczekujących na redzie. Dumitru popatrzył na zacumowany przy nabrzeżu czarny pasażerski liniowiec z dwoma białymi kominami i czerwonymi pasami wokół. Przez głowę przeszła mu myśl, że może właśnie takim statkiem popłyną z Doriną i Emilią w nieznane. Minął kilka torowisk, na których stały wagony towarowe oraz cysterny do przewozu ropy naftowej.

Nie spiesząc się, szedł równym tempem ponownie w kierunku Gara Martima, dużego, czteropiętrowego białego budynku dworcowego z kilkoma masztami łączności radiowej na dachu. Minął niewielki skwer i stanął na schodach pod kolumnadą wejściową. Spokojnie zapalił papierosa. Miał jeszcze pięć minut do spotkania z łącznikiem i rezydentem NKWD w Konstancy. Jego nozdrza wciągały mieszankę amerykańskiego tytoniu, rumuńskiej ropy naftowej i czarnomorskiej bryzy. Przez kilka minut

lustrował otoczenie, po czym naciągnął mocniej kapelusz na czoło. Spojrzał na zegarek. Była punktualnie dziesiąta.

Dworzec morski wypełniony był tłumem przeciskających się podróżnych, pokrzykujących urzędników z agencji celnych i spedycyjnych, marynarzy z dużymi płóciennymi workami na plecach, kolejarzy z charakterystycznymi, skórzanymi torbami. Chaos potęgowały odgłosy w różnych językach: rumuńskim, rosyjskim, angielskim, polskim, tureckim, a nawet arabskim. Podszedł do ostatniego z prawej strony kontuaru. Zdjął kapelusz, odłożył go obok, wyjął z wewnętrznej kieszeni pióro i zaczął wypełniać dokument celny, który zabrał wcześniej z pliku różnych kwestionariuszy. Następnie złożył go na czworo i wsunął powoli do prawej, zewnętrznej kieszeni marynarki.

- Przepraszam, czy mógłby mi pan pożyczyć pióro? Swoje zostawiłem w hotelu - zwrócił się do majora trzydziestoparoletni mężczyzna o nieco kaukaskich rysach, mówiący z wyraźnym mołdawskim akcentem.

Uchylił lekko czarnego kapelusza w stylu homburg z podwiniętym nieco rondem. Następnie położył na kontuarze złożoną na pół gazetę z czerwonym tytułem „Gazeta Sporturirol”.

- Niestety, muszę odmówić. Spieszę się. Niedługo mam statek do Pireusu - odpowiedział major zgodnie z przyjętym systemem łączności.

- Proszę iść za mną - rzucił szeptem mężczyzna. - A, to przepraszam szanownego pana - dodał głośniejszym głosem, ponownie uniósł swojego homburga i zapiał na dwa guziki granatową kapitańską marynarkę.

Po kilkunastu minutach spaceru, w czasie którego obaj mężczyźni bacznie obserwowali otoczenie, dotarli do modernistycznego hotelu Bellona. Podłużny kształt, biały kolor i balkony ciągnące się wzdłuż budynku przypominały pełnomorski statek pasażerski. Skierowali się do restauracji. Po drodze mężczyzna zamówił dwie kawy i dwa *papanasi* - pączki ze śmietaną i wiśniową konfiturą na wierzchu.

- Kapitan Kazimir Sokołow - przedstawił się tamten. - Towarzysza majora znam tylko ze zdjęcia, no i ze szkolenia w Moskwie. Rozumiem, że ewakuacja przebiegła pomyślnie?

- Kapitanie, pomyślnie przebiegnie, jak będę z żoną i córką poza Rumunią! - odpowiedział poirytowany Dumitru.

- Proszę się nie denerwować. Kiedy dostałem sygnał z Centrali o waszej ewakuacji, natychmiast przystąpiłem do działania. Wszystko przygotowane - zapewnił spokojnie Sokołow i wyjął pękata szarą kopertę. - Rozumiem, że środki towarzysz major posiada?

- Tak. Zlikwidowałem mieszkanie w Bukareszcie i niewielką część pieniędzy ze sprzedaży mieszkania mam przy sobie. Poza tym zostało coś z naszego funduszu operacyjnego. Resztę zamieniłem na brylanty i złotą biżuterię.

- Świetnie. Rozumiem, że ukrył towarzysz major wszystko w skrytce w walizce. Rumuńskie przepisy celne są bardzo restrykcyjne w zakresie wywozu pieniędzy.

- W skrytkach, kapitanie. W walizce pieniądze, w torbie podręcznej brylanty, a biżuteria, co oczywiste, w torebce żony. Trochę zaszyłem też w ubraniach.

- Proszę słuchać, majorze. Wyruszacie do Kairu przez Stambuł.

- Gdzie?! - Oficer nie krył zaskoczenia.

- Tak. Do Kairu.

Zapadło milczenie. Major patrzył na Sokołowa z niedowierzaniem. Był przygotowany na każdą sytuację, ale spodziewał się raczej, że będzie ewakuowany do Ameryki Południowej. Egipt zaskoczył go absolutnie. Pomyślał o żonie i córeczce.

Sokołow kontynuował:

- Towarzysz major jest od dzisiaj Adamem Ahmadem al-Naggarem, wnukiem ze strony ojca egipskiego kupca robiącego interesy w Turcji. Babcia natomiast była Polką z Adampola. To taka polska osada koło Stambułu. Ojciec wasz zamieszkał w Odessie i poznał tam córkę polskiego zesłańca carskiego – tłumaczył Sokołow. – Żona wasza natomiast nazywa się Ozanna al-Naggar i jest rosyjską Żydówką z Konstancy, która uciekła wcześniej z Kijowa. Córnica ma wystawione dokumenty na Evelyn al-Naggar. Aha. Macie już, *na wsiakij požarnyj słuczaj*, wystawione na te dane karty pobytu w Turcji na rok. Nazywają to *vesica*. Pamiętajcie, że opłata za jedną kartę to piętnaście funtów tureckich.

- A legenda podróży?! - wtrącił major.

- Wracacie do kraju przodków, uciekając przed wojną i bolszewikami. Czyli nami.  
- Sokołow się zaśmiał.

- Jak się stąd dostaniemy do Stambułu, a potem do Egiptu?

- Towarzysz major mnie nie docenia. Całego statku to ja wam nie wynajmę, bo to kosztowałoby ze dwa i pół tysiąca funtów angielskich. Ale frachtowiec z kilkoma kabinami pasażerskimi można znaleźć. Zresztą wszystko jest napisane. Również i to, jak się macie potem dostać do Kairu. Zapoznajcie się. - Sokołow wskazał kopertę.

- Mówcie dalej, kapitanie.

- Jak już wejdziecie do portu, to idźcie na pierwsze nabrzeże. Tam cumuje nieduży frachtowiec *Stilla* pływający pod banderą maltańską. Łatwo znajdziecie. Obok niego stoi jakiś rozklekotany, mały amerykański statek pod banderą Hongkongu. Nie pomylcie się, towarzyszu majorze. - Sokołow znowu się zaśmiał. - Zgłosicie się do kapitana. Ale dopiero przed samym wyjściem z portu w morze, czyli o piątej po południu. *Stilla* wypłynie o szóstej. Wszystko zapłacone. Jakies pytania, towarzyszu majorze?

- Kto wymyślił tę legendę? Wy?

- Ja? - zdziwił się Sokołow. - Major mnie tym razem przecenia. To decyzja Moskwy. A jak wiecie, z Centralą się nie dyskutuje. Widocznie jesteście potrzebni w Egipcie.

- Czyli mam jeszcze jakieś pięć, sześć godzin.

- Tak jest, towarzyszu majorze. Powodzenia. Czuję, że mi się tu w najbliższym czasie zapowiada dużo roboty z *Poliakami*. Dostałem dzisiaj polecenie z Centrali wyprodukowania albo pozyskania kilkudziesięciu polskich paszportów. Mam też mieć na oku statki pod banderą brytyjską.

Major bez słowa wstał od stolika. Nałożył kapelusz i wyszedł z hotelu. Skierował się do *plaja modern* i hotelu *Chérica*. Na wszelki wypadek postanowił iść małymi uliczkami, pomiędzy nadmorskimi pensjonatami.

\*\*\*

Tygodniowy pobyt rodziny Al-Naggar w *ailepensionu Moda*, prowadzonym przez Greków w Kadıköy-Moda - na przedmieściach Stambułu po azjatyckiej stronie, upłynął szybko. Tylko raz wybrali się na wycieczkę parowym promem na europejski brzeg Bosforu. Major czasem grywał z innymi gośćmi tego rodzinnego pensjonatu w szachy, natomiast jego żona spędzała dużo czasu z dzieckiem w fantastycznie ukwieconym

ogrodzie. Codziennie chodzili na długie spacery na południowym brzegu Bosforu, które kończyli zwykle niedaleko pensjonatu w sąsiedniej kawiarni. Oglądali sylwetki przepływających statków oraz napawali się widokiem Błękitnego Meczetu i Hagia Sophia po drugiej stronie cieśniny. Major i jego żona wykorzystywali te spacery do sprawdzania, czy nie są obserwowani, zarówno przez miejscową policję, jak i wrogów państwa sowieckiego.

Mimo że byli daleko od Rumunii, ciągle czuli niepokój, obawiali się, że niebezpieczeństwo może pojawić się w każdej chwili. W końcu, po siedmiu dniach, kiedy schodzili na śniadanie, grecki recepcjonista zakomunikował majorowi, że jest do niego list. Wewnątrz koperty były trzy bilety na kabinę pierwszej klasy statku płynącego do Hajfy w Brytyjskim Terytorium Mandatowym w Palestynie. Następnego dnia rano rodzina Al-Naggarów wsiadła do taksówki. Czarny, pękaty renault juvaquatre zawiózł ich na pobliski dworzec kolejowy Haydarpassa, z którego odjeżdżały pociągi do Ankary, wschodniej Turcji, a nawet do Bagdadu. Żeby nie zwracać na siebie uwagi, wykupili bilety w wagonie trzeciej klasy.

Jechali przez dwa dni. Pociąg przemierzał zalesione góry Anatolii. Minął Izmit, aż w końcu dotarł do portu w Mersin. Byli zmęczeni podróżą ze Stambułu. Ponieważ mieli jeszcze sporo czasu, zatrzymali się w niewielkim pensjonacie Azak İş Hanu przy głównej ulicy miasta i niedaleko stacji kolejowej. Niewielki statek pasażerski pod cypryjską banderą miał podnieść kotwicę dopiero następnego dnia wieczorem.

- Kochanie, Emilia w końcu zasnęła - powiedziała Dorina do męża, biorąc go delikatnie pod ramię.

Ten obejrzał się dyskretnie na długi pokład pasażerski, który zwykle w słoneczny dzień wypełniony był siedzącymi na leżakach podróżnymi. Popatrzył na bulaje kabin, w których świeciły się lampy. Nikogo nie było. Nikt ich nie obserwował.

- Evelyn, kochanie. Pamiętasz? Nasza córka nazywa się teraz Evelyn.

- Nie mogę się jeszcze przyzwyczaić. To wszystko tak szybko... Jak to tam będzie, kochanie? - dodała po paru minutach.

Obejmując ramieniem żonę, major upił łyk z pękatego kieliszka napełnionego martellem. Następnie zdjął zarzucony na plecy ciepły, wełniany biały pulower i okrył nim żonę.

- To w takim razie... *pentru victorie*, jak mówią Rumuni - wznosił toast.

Uśmiechnął się, pocałował ją czule w czerwone usta. Kobieta wtuliła się mocniej w jego ramię. Major ponownie wziął łyk alkoholu, tym razem większy. Obserwowali powoli zmniejszające się światła portu Mersin i oddalający się zarys wzgórz nad miastem. Lekka bryza, która jeszcze w porcie przynosiła ulgę od ciepła dnia, na otwartym morzu przybierała na sile.

Dopiero wtedy dotarło do nich, że zaczynają nowy etap życia. W miejscu, którego nie znają, wśród ludzi, o których nic nie wiedzą.

# ROZDZIAŁ 2

## Tanganika – jesień 1945 roku

Chłopak poczuł ostre uderzenie w bok.

- Aj! - krzyknął, odsunął się i oparł o termitierę.

Witek Nowacki z całej siły znów uderzył go drewnianym mieczem, tyle że w drugi bok. Siedmiolatek osunął się na ubitą glinę. Niefortunnie uderzył się w twarz, z nosa poleciała mu strużka krwi.

- Witek, czego chcesz? Zostaw - wystękał Józek i niezdarnie próbował wstać.

Miał na sobie krótkie jasne spodenki na szelki z guzikami i przybrudzoną koszulkę z kołnierzykiem. Wtem obok nich wyrósł mężczyzna ze sporą czarną brodą i łysiną. Złapał Witka za rękę, wykręcił ją do tyłu, nastolatek tylko zdążył cicho stęknąć i puścił swój miecz.

- Znęcaj się nad starszymi, łachudro jedna! - krzyknął mężczyzna do Witka, który miał na sobie kostium teatralny przedstawiający rzymskiego legionistę.

Ten, widząc, co się święci, ruszył biegiem do baraku, w którym znajdował się sierociniec.

- Wstawaj, mały. - Wybawca podniósł chłopca jedną ręką. - Coś cię boli? - zapytał troskliwie.

- Nie... psze pana - odpowiedział cichutko Józek i wytarł dłonią krew, rozcierając ją po policzku.

- Chodź, przemyjemy. - Ruszyli do beczki z wodą. - No już się nie maź. Jak na ciebie wołają?

- Józio.

Chłopak nagle przystanął, zaczął nerwowo wyłamywać palce i patrzył na czubki sandałów.

- No chodź - popędzał go brodacze.

Minęli jeden z domków nazywanych ulami. Był to okrągły budynek z gliny, pobielony i kryty mięsistymi liśćmi bananowca. Przed nimi ukazał się widok na górę Meru, nad którą wisiał wieniec ciężkich równikowych chmur. W tym momencie Wartanian sięgnął do kieszeni i wyjął ołowianego żołnierzyka na koniu - australijskiego kawalerzystę.

- Masz i nie płacz już więcej. Trzeba być silnym. - Włożył zabawkę w małą dłoń Józka i obmył mu twarz chłodną wodą.

Józef stał na środku placu i z każdej strony oglądał figurkę żołnierza. Był zachwycony. Śmiał się do siebie. Podniósł go i spojrzął pod słońce na soczyste kolory i detale, szablę, którą niósł przed sobą Australijczyk, lekko podwinięty kapelusz i spięty ogon konia. W pewnym momencie zaczął wzrokiem szukać brodacza. Ten jednak, jak zniecka się pojawił, tak szybko zniknął w którejś z chat.

Chłopak wszedł do baraku sierocińca i zamarł. Zobaczył Witka, który zdejmował z siebie papierowy szyszak pomalowany na złoto, a z piersi tekturowy biały ryngraf z



orłem. Obok leżał hełm przypominający te używane przez Rzymian i drewniany miecz. Niedawno uczestniczył bowiem w przedstawieniu teatralnym opartym na fragmentach *Quo Vadis*. Nowacki nie zwrócił jednak uwagi na Józka. Chłopiec podszedł do swojego łóżka, rzucił się na nie i odwiązał moskitierę. Schował się za siatką. Jego poduszka stała się na krótko stepem, po którym pędził Australijczyk na koniu.

Po kilku minutach wstał, podniósł serwetkę, która leżała na jego blaszanej walizce, służącej teraz za stolik. Uchylił wieko i schował w środku żołnierzyka. Taki sam leżał na szarym kocu Witka.

\*\*\*

*W uzupełnieniu działań związanych z realizacją głównej operacji podjąłem w ostatnim czasie działania w polskich ośrodkach z tak zwaną wzmocnioną strefą bezpieczeństwa. Ustaliłem, że poza kryminalistami z warszawskich żydowskich grup przestępczych oraz kryminalistami ze środowisk socjalistycznych jest grupa osób z band lwowskich i tarnopolskich. W związku z tym spośród prawie pięćdziesięciu osób wytypowałem kilkusobową grupę wykazującą się dużą sympatią do idei komunistycznych (dokładne dane przesyłam oddzielnym szyfrogramem). Podobne działania podjąłem w obozie, w którym przebywa ponad czterdzieści prostytutek różnych narodowości i wyznania z przedwojennych wschodnich terenów polskich. Jednak praca tam jest utrudniona. Dodatkowo zleciłem działania operacyjne agentowi ps. Wiktor w Rodezji, gdzie grupa kryminalistów liczy trzydzieści osób, podobnie jak grupa prostytutek. Wciąż nie mam dostępu do więzienia w Makindu, gdzie kierowano najgroźniejszy kryminalny element z polskich obozów lub wprost z transportów morskich.*

Johan

Mężczyzna w polowym tropikalnym mundurze bez oznaczeń odłożył ołówek i wstał od niewielkiego stołu. Popatrzył na drewniany szkielet z drągów stanowiący konstrukcję dachu pokrytego liśćmi bananowca. Wyszedł na moment na zewnątrz. Budynek otoczony był kwiatami i jakimś zielskiem oplatającym ściany. Wyprostował się i przeciągnął, pogładził po tyłej głowie i wciągnął w płuca rześkie powietrze, które wiatr przywiał spod Kilimandżaro. Popatrzył na otaczające obóz w Tenger wulkaniczne wzgórza porośnięte gęstą roślinnością. Doskonale się czuł w tym położonym na tysiącu dwustu metrach nad poziomem morza polskim obozie. Nie było tu wszechobecnej nadmorskiej wilgoci czy skwaru i kurzu suchych rejonów sawanny.

Jego myśli po chwili uciekły do małego Józka. Usłyszał o nim zupełnie przypadkowo w czasie rozmowy z ojcem Franciszkiem, który uczył religii. Wartanian co jakiś czas dostarczał zakonnikowi sprowadzane z południowej Afryki pinotage – wytrawne czerwone wino. Ojciec Franciszek twierdził wprawdzie, że to tylko na potrzeby odprawianych mszy, jednak zbyt duże zamówienia wskazywały, że duchowny mógł nadużywać alkoholu. Wskazywały na to jego gwałtowne, niczym niespowodowane napady agresji. Z tego powodu dzieci po prostu się go bały. Bił chłopaków linijką albo cienką bambusową tyczką, gdy nie potrafili odpowiedzieć na pytania w czasie katechezy. Raz przyznał Wartanianowi, że zlecił chłopakom z grupy Tarzana pobić Janka Niwińskiego, bo w czasie lekcji coś nieprzyjemnego mu odburknął.

– W zasadzie nie słyszałem nawet, co powiedział, ale dostał dla zasady. Dyscyplina musi być! – stwierdził.

Wartanian obserwował siedmiolatka już od pewnego czasu. Wiedział, że może być mu oddany jak mało który z chłopców. Witek Nowacki bez problemu przyjął od Wartaniana zadanie „poszturchania” trochę Józka. Za przysługę dostał ołowianego żołnierzyka.

O grupie Tarzana było głośno w obozie. Przywódcą był piętnastoletni Michał Bartkiewicz. Chłopak tak zapatrzył się w serię filmów ze słynnym amerykańskim pływakiem Johnnym Weissmullerem, że zaczął go naśladować. Uciekał do dżungli i zakładał na drzewach chatki, w których godzinami przesiadywał. Gromadził w nich banany, papaje i daktyle. Imponował tym młodszym kolegom. Niektórzy szli w jego ślady i urywali się z obozu. On zaś, świadomy tego, że jest najodważniejszy, testował ich lojalność. Do jego bandy trafiali tylko ci, którzy najgłośniej ryczeli jak filmowy Tarzan i potrafili bujać się na lianach. A najbliżej byli ci, którzy wytrzymali ukąszenia czerwonych mrówek.

Wartanian obserwował grupę i zdawał sobie sprawę, że łączy tych chłopaków jakaś więź, która nie wynika już tylko z zabawy. Więzy, która popycha ich do łamania zasad obowiązujących w obozie, a nawet do popełniania drobnych wykroczeń.

Witek Nowacki pełnił w grupie nietypową funkcję – skarbnika. Zbierał w obozie używaną odzież oraz przedmioty codziennego użytku, takie jak sztucce, szczyryki, latarki. Potem urywał się na kilka godzin z obozu, jechał zdezelowanym autobusem z panem Zygmuntem do pobliskiej Aruszy i sprzedawał swoje skarby Hindusom i Masajom. Za zarobione szylingi kupował papierosy. Część pieniędzy zakopał przy jednej z palm daktylowych, ale o tym poza nim wiedział tylko Tarzan. Pieniądze te miały im się przydać w czasie ucieczki. Planowali bowiem ruszyć na wschód, na wybrzeże. Tam chcieli wsiąść na jakiś statek, aby popłynąć do Australii. Takie było ich chłopięce marzenie.

Petros Wartanian od kilku lat pracował dla EARA – East Africa Refugee Administration – wyspecjalizowanego urzędu brytyjskiego, który zajmował się sprawami związanymi z pobytem uchodźców. Oddelegowano go do pomocy kierownikom obozów – *Polish Camp Leaders*, do koordynowania sprawnego systemu dystrybucji towarów w warunkach afrykańskich bezdroży i dużych odległości dzielących osiedla od portów na wybrzeżu.

Mężczyzna podawał się za Ormianina zamieszkałego w Polsce. Utrzymywał, że pochodzi z rodziny, która uciekła jeszcze przed wojną z Rosji Sowieckiej. W rzeczywistości już prawie dwa lata pracował pod przykryciem w polskich obozach w Afryce Wschodniej.

\*\*\*

Wartanian wrócił do tymczasowej kwatery, zdjął buty i postawił je przy łóżku na małym dywaniku rozłożonym na glinianym klepisku. Obok stała szafka z wiadrem, ręcznikiem i mydłem. Położył się. Patrzył na jedno z czterech osłoniętych siatką okienek w okrągłej ścianie. Podłożył pod głowę poduszkę i zwinięty koc. Płomień lampy naftowej słabo oświetlał wnętrze. Chciał odpocząć, zanim przystąpi do pisania kolejnego meldunku. Musiał je zawieźć do Dar es-Salaam, do radiooperatora, który w jednym z biur spedytatorów morskich miał dobrze zakamuflowaną radiostację typu *Siewier*.

- Panie Petrosie! Panie Petrosie!

Usłyszał przed domem głośne dziecięce wołanie. Znał ten głos. Uśmiechnął się do siebie i nie wstając z łóżka, odpowiedział:

- Jestem, Józek, jestem! Co się stało, chłopcze?

- Panie Petrosie. Niech pan przyjdzie do nas na kolację. Poopowiada pan o Polsce? Prosimy, panie Petrosie. Bardzo prosimy.

Wartanian wstał. Przed chatką stał uśmiechnięty siedmiolatek i w rękę trzymał ołowianego żołnierzyka.

Józek był sierotą. Pochodził z żydowskiej rodziny Niczhanserów z Andrychowa. Jeszcze w 1939 roku całą jego rodzinę Niemcy zmusili do pracy przymusowej. Na początku musieli zamiatać ulice, a potem porządkować domy, które szykowano dla niemieckich osadników. Ojciec trafił do obozu pracy w Sosnowcu, tam ślad po nim zginął, podobnie jak po matce i siostrze oraz dwóch braciach.

Nikt nie chciał chłopcu utrudniać i tak już ciężkiego dzieciństwa. Józek żył marzeniami. Tęsknił za bliskimi. Ich zdjęcia traktował jak największą relikwię. W dokumentacji obozowej w Tenger znalazł się zapis, że jego brat Bernard służył w 2. Pułku Strzelców Podhalańskich w Sanoku, którego kompania zwiadu, dowodzona przez porucznika Jana Skalę, została rozbita w rejonie Baranowa nad Wisłą. Bernard miał się przedzierać do Tarnowa do swojej dziewczyny, ale czy tam dotarł, trudno powiedzieć. Ślad po nim zaginął.

Józka uratował sierżant Karol Marjański, który kilka miesięcy wcześniej uczestniczył w szkoleniu zorganizowanym pod Andrychowem dla żydowskich bojowników i doskonale znał rodzinę Niczhanserów. Zaopiekował się ledwie kilkunastomiesięcznym dzieckiem. Późną wiosną 1940 roku sierżant uciekł wraz z żoną i małym Józkiem na Węgry. Stamtąd dotarli do Splitu, a następnie do Hajfy. W miejscowości Samach w Palestynie zgłosił się do Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich. Żona została z Józkiem, gdy sierżant walczył w Tobruku i został tam ciężko ranny.

Chłopiec z tamtego okresu pamiętał ledwie jak przez mgłę kraciatą flanelową koszulę mężczyzny, pachnącą tytoniem fajkowym. W 1942 roku cała trójka przybyła do Tanganiki. Następnego roku sierżant zmarł, a rok później na malarię zmarła również jego żona.

Chłopiec został zupełnie sam. Wtedy Wartanian, który miał dostęp do obozowej ewidencji, zmienił mu nazwisko, a w zasadzie uprościł na Hanser.

\*\*\*

Józek chwycił Wartaniana małą dłonią i pociągnął w kierunku jadalni. Minęli magazyny, pralnię i budynek kuchenny. W obszernym prostokątnym pomieszczeniu siedziało już kilkunastu małych chłopców i nastolatków. Józek był z nich najmłodszy. Każdy go znał i wszyscy traktowali go z sympatią, bo był bardzo ruchliwy i wszędobylski. Zaglądał w każdy zakamarek obozu, a nieraz nawet podążał do dżungli za chłopakami z grupy Tarzana, chociaż ci go odpędzali. Śmiali się z niego, że nie da sobie rady w gęstym lesie wśród dzikiej zwierzyny, ale on starał się im udowodnić, że nie mają racji.

Na stołach przy wejściu do jadalni, która wieczorami stawała się świetlicą dla młodzieży, leżały czasopisma „Promyczek Afrykański”, „Czuj Duch”, powielaczowy

„Brzask” oraz miejscowy „Głos Harcerza”. Liczne tłuste plamy zostawione na papierze wskazywały, że cieszyły się popularnością.

Dla ponad stu polskich sierot w Tender namiastkę normalnego życia organizował Józef Jagielski, były burmistrz Wieliczki. Chłopcy go lubili, a on tworzył drużyny harcerskie i zespoły sportowe, przede wszystkim piłki nożnej. Po udanym wejściu na Kilimandżaro w 1944 roku starsi chłopcy uczestniczyli później w całej serii wypraw górskich.

- Zobaczcie, kogo przyprowadziłem! - krzyknął Józek.

Kilkunastu chłopców, którzy szykowali się do kolacji, odwróciło się w jego stronę. Szybko wstali od stołów i przywitali gościa.

- Zapraszamy pana! Tutaj, do nas! A opowie nam pan coś o polskich górach, opowie? Prosimy! O naszych żołnierzach i o bitwie pod Monte Cassino! Dobrze? Albo o czymś innym! - krzyczał jeden z nich.

- O Lwowie, Wilnie! I o Warszawie! - przekrzykiwał go inny.

- A o moich Baranowicach?! - dokładał kolejny.

- Niech pan nam lepiej powie, kiedy ci cholerni Anglicy nas wyślą do Polski?! Bo to różnie mówią w radiu i w naszym obozie - z głębi sali rzucił Tarzan.

Ormianin wprawdzie pochodził z kresów Rzeczypospolitej, ale jego rodzina została po traktacie ryskim po sowieckiej stronie granicy. Choć znał język polski, niewiele wiedział o kraju. Dlatego wykorzystywał przede wszystkim informacje uzyskane od polskich żołnierzy w Palestynie. Teraz pogłębiał wiedzę, czytając prasę lokalną, czyli „Polaka w Afryce”, a także *Komunikaty Polskiej Agencji Prasowej*, *Komunikaty Radiowego Polskiego Centrum Informacji w Nairobi* i *Komunikaty Informacyjne Polskiego Funduszu Prasowego*. Znał dobrze język angielski, więc korzystał też z prasy anglojęzycznej, głównie z „The East Africa Standard”, gdzie zamieszczano materiały dotyczące spraw polskich.

Za każdym razem kiedy przyjeżdżał do Tenger, dużo czasu poświęcał młodzieży. Starał się tłumaczyć dzieciom otaczającą rzeczywistość, opowiadał o nim, a oni traktowali go niczym okno na świat. Część chłopców obecnych na sali znał doskonale. Poznał ich losy, ponieważ miał wgląd w informacje o ich rodzinach, pochodzeniu, narodowości, wyznaniu, kontaktach towarzyskich, a nawet sympatiach politycznych rodziców - wszystko to znajdowało się w ewidencji obozowej. Obserwując dzieci, starał się też ocenić, jakie mają możliwości intelektualne, fizyczne i językowe, a także poznać ich słabości. To pozwalało mu wpływać na ich uczucia, modelować ich charaktery.

- Chłopaki, cisza! A przede wszystkim to dobry wieczór.

- DOBRY WIECZÓR! - odpowiedzieli chórem zgromadzeni.

- Najpierw coś zjedzmy. Głodny jestem jak wilk, a właściwie jak lew na sawannie. Potem wam opowiem, co tam słychać w Polsce i na świecie, i co u naszego generała Andersa we Włoszech.

- Ja zaraz przyniosę talerz i łyżkę. - Józek i pobiegł do kuchni.

Gdy wrócił i usiadł dumnie obok Wartaniana, wyprostował się, jakby chciał w ten sposób wydać się wyższy i poważniejszy. Patrzył na niego z uwielbieniem, a jednocześnie z niecierpliwością, jakby nie mógł się doczekać tego, co miał za chwilę usłyszeć z ust swojego ulubieńca. Mężczyzna uśmiechnął się do Józka, po czym odwrócił się do wszystkich i głośno rzucił:

- Smacznego!

- SMACZNEGO! - odpowiedział chór chłopców.

Po kolacji przez ponad dwie godziny opowiadał zgromadzonym, o czym przeczytał lub co usłyszał w radiu, co opowiadali mu marynarze w porcie w Dar es-Salaam. Chłopcy w zupełnej ciszy, z otwartymi ustami i czerwonymi uszami słuchali jego słów. Uwielbiali go i po każdej skończonej opowieści mieli mnóstwo pytań do polskiego Ormianina. Docenili to, że znalazł dla nich czas.

- Jutro po apelu porannym i śniadaniu będę miał do zakomunikowania niektórym chłopcom dobrą wiadomość - oznajmił i wstał od stołu.

W sali zaległa cisza. Słyszać było tylko głos cykad za oknem. Popatrzył na zebranych, nabrał powietrza i dodał:

- Wojna wreszcie się skończyła. Japonia przegrała. Nastal zatem czas, aby powoli wracać do domu! - rzucił krótko.

W pierwszej chwili na twarzach chłopców malowało się zaskoczenie, które nagle eksplodowało wybuchem radości. W stołówce rozległy się krzyki, harmider był głośniejszy niż na boisku piłkarskim.

- Cisza! Cisza! - przekrzykiwał chłopców. - Cisza! Jutro na apelu dowiecie się, kto jedzie do Egiptu, a kto jeszcze zostaje. Byłem tam i wiem, że wam się spodoba. Pamiętajcie ten film *Błękitni chłopcy*? To właśnie tam pojedą niektórzy z was. A może wszyscy - dodał, chcąc ich uciszyć.

- Do Egiptu? Nie do Polski? - zapytał najstarszy z nich. - Co? Znowu nas Anglicy oszukali? - dodał Tarzan, chociaż myślami był na dalekich antypodach.

Ormianin popatrzył na niego i pokiwał głową. Żegnając się, powiedział do Józka, że go odprowadzi do baraku.

Wartanian był zmęczony. Przez cały dzień prowadził rozmowy z kierownictwem obozu, przeglądał raporty oraz wymieniał poglądy z oficerami przebywającymi na rekonwalescencji. Zajmował się też zaopatrzeniem osiedla w żywność z farm prowadzonych przez Polaków, którzy uprawiali warzywa i hodowali drób. Musiał również napisać informację do Centrali w Moskwie. Usiadł ciężko na skraju łóżku siedmiolatka, a ten położył się obok niego na brzuchu i zaczął bawić się ołowianym żołnierzkiem.

- Podoba ci się?

- Jest klawo - chłopak starał się naśladować slang używany przez starszych kolegów.

- Widziałeś film *Dumbo*?

- Tylko słyszałem. To o takim śmiesznym słoniu?

- Tak. Wiesz, mogę ten film załatwić do naszego kina. Chcesz?

- Tak.

- Pójdziemy wtedy razem do kina. A wiesz, że ty też możesz tak jak ten słoń...

- Latać?

- Nie, ale tak jak on realizować swoje marzenia. A właśnie? Jakie one są?

- Chciałbym mieć rodzeństwo, i mamę, i tatę.

- Cóż, nie wszystko jest możliwe. Ale możesz mieć rodzinę. Ja mogę być twoim wujkiem. Chcesz?

- Naprawdę?! - Oczy chłopaka stały się jakby większe.

Józek odwrócił się na plecy na łóżku i patrzył na zwiniętą w ogon moskitierę. W pewnym momencie delikatnie ujął dłoń Wartaniana i uśmiechnął się. Kilka minut później zwolnił uścisk, zasnął. Mężczyzna włożył w dłoń chłopaka niewielki kamienny krzyżyk z dziurką i wyszedł.

Ormianin wpisał go wraz z kilkoma chłopakami z bandy Tarzana na listę dzieci przeznaczonych do ewakuacji do Egiptu. Nie chciał z nim tracić kontaktu, Józef był mu potrzebny.

Korzystając ze swych układów w BOAC – British Overseas Airways Corporation, załatwił, że jedna z dakot DC3 z dywizjonu nr 1, z polską załogą, na początku następnego roku zabierze chłopców przez Chartum do Kairu.

\*\*\*

*Polacy bardzo przeziąkają imperialistyczną atmosferą tworzoną przez Brytyjczyków. Nie przejawiają szczególnego zrozumienia dla wolnościowych i niepodległościowych ambicji rdzennej ludności Afryki. To w oczywisty sposób kłóci się z podkreślanym na każdym kroku narodowym etosem Polaków. Przyjmują punkt widzenia Afrykanerów i Rodezyjczyków. Uwypukla się w tej postawie solidarność ludzi białych wobec obcego cywilizacyjnie i rasowo świata czarnych mieszkańców kontynentu.*

*Część Polaków chce wracać do kraju, część chce emigrować do Ameryki Południowej bądź Północnej albo nawet do Australii. Po ostatnich decyzjach Londynu i Waszyngtonu odczuwa się w obozach atmosferę wyczekiwania i niepewności. Coraz więcej pojawia się głosów o zdradzie Polski przez ich dotychczasowych sojuszników.*

*Nie odnotowałem przejawów aktywności wywiadu brytyjskiego, a także polskiego z ośrodka andersowskiego. Warunki do pracy werbunkowej korzystne.*

Johan

Następnego dnia komendant obozu odczytał na apelu porannym listę dwudziestu chłopców w różnym wieku, którzy pojedą w najbliższym czasie do Egiptu. Mieli być tymczasowo skierowani do prowadzonego od 1943 roku Liceum Techniczno-Lotniczego w Heliopolis na przedmieściach Kairu. Mieszczący się przy lotnisku RAF-u ośrodek miał swoje gimnazjum i liceum. Poza zajęciami w warsztatach mechaniczno-lotniczych, gdzie młodzież starsza uczyła się spawania lotniczego i maszynoznawstwa, mieli lekcje z języka polskiego, angielskiego, geografii i historii.

Najmłodszych, wśród których znalazł się Józef, planowano umieścić czasowo w obozie wojskowym w Qassasin w rejonie Kanału Sueskiego.

\*\*\*

Pierwszy transport polskich uchodźców dotarł do Tanganiki w Afryce Wschodniej w sierpniu 1942 roku. W 1945 roku w obozach afrykańskich przebywało ponad trzydzieście i pół tysiąca Polaków. Stanowili oni największą społeczność wśród Europejczyków. Przywożono ich do portów na pokładach nie tylko brytyjskich statków, lecz także polskich transatlantyków: Batorego i Sobieskiego. Po zejściu do portu byli kierowani do obozów przejściowych.

Ewakuowani do Afryki uchodźcy zbudowali przedszkola, szkoły podstawowe i średnie zawodowe oraz licea. Działały tam również zespoły artystyczne. Były boiska

sportowe i korty tenisowe, szpitale i przychodnie lekarskie. Wzniesiono kościoły, cerkwie i bożnice. Działało harcerstwo, utworzono kluby YMCA. Kolportowana była polska prasa, również dla młodzieży i dzieci.

W połowie 1945 roku pod naciskiem Sowietów sytuacja się zmieniła. Zaczęto zamykać agendy rządu londyńskiego. Rozpoczęły się naciski mające na celu likwidację obozów uchodźców.

Komunistyczne władze w Warszawie nalegały na szybką repatriację polskich sierot do Polski. Ale zaczęły też płynąć do Polaków pierwsze sygnały o możliwościach emigracji do różnych krajów, w czym pośredniczył Watykan. Polscy mieszkańcy obozów w Afryce Wschodniej stanęli przed trudnym wyborem.